

Hasłem tym można by określić wiele spraw, bo przecież cała formacja rodzinna szkolna czy też seminaryjna była przygotowaniem do tego wielkiego zadania - pracy misyjnej. I tutaj z wielkim szacunkiem dla wszystkich profesorów i wychowawców, pragnąłbym podziękować za to wszystko, co ukształtowało moją osobowość. Owe wartości docenia się dopiero w późniejszym czasie, kiedy jest się poddanym próbie.

Tak naprawdę, przygotowując się do wyjazdu do Papui Nowej Gwinei, nie wiedziałem gdzie jadę i co będę tam robił. Moje przygotowanie ograniczyło się do poznania języka angielskiego tu, w kraju, a następnie w Australii, gdzie miałem okazję przebywać około roku. W Australii dopiero pierwszy raz zetknąłem się z grupą ludzi, z którą później miałem trochę do czynienia.

Pierwszy kontakt był bardzo sympatyczny. Przyjechałem do Scorsby (dzielnica Melbourne), gdzie w Seminarium Duchownym "Priest of Christ" założonym przez Ojca Whitinga zobaczyłem trzech seminarzystów. Spędziłem z nimi parę chwil, dowiadując się skąd są itd., itp. W późniejszym czasie, pracując już jako wikariusz w parafii Św. Benedykta w Burwood, spotkałem paru Australijczyków, którzy podczas wojny byli na froncie japońskim w Papui Nowej Gwinei. Jednak to wszystko nie było jeszcze przygotowaniem jakiego życzyłbym sobie. Ciągłe jeszcze nie wiedziałem dokładnie gdzie jadę i co będę tam robił. Kiedy z perspektywy oceniam czas jaki spędziłem w Australii, muszę przyznać, że był on dla mnie bardzo potrzebny. I chociaż nie dowiedziałem się zbyt wiele o Papui, to jednak otworzyłem się na poznawanie i kształtowanie siebie, na walkę z samym sobą, aby poznać drugiego człowieka, aby w jakiś sposób zbliżyć się do niego.

Pewnego rodzaju wzorem był dla mnie brat Bob Bradley, australijski pallotyn. Spotkałem go w domu na Kew. Człowiek o niesamowitym humorze i zdolności kontaktu z drugim człowiekiem, a przy tym na stałe przytwierdzony już do wózka inwalidzkiego. Wiele wieczorów spędziliśmy wspólnie słuchając historii o jego wyczynach misyjnych. Był bowiem misjonarzem w Australii. Pracował na zachodzie Australii z Aborygenami. Pamiętam jego powiedzenie: Aby pracować z ludźmi trzeba ich najpierw ukochać. Przypominałem sobie to hasło później, kiedy w konkretnej pracy spotykałem się z ludźmi, gdy chwilami brakowało cierpliwości i kiedy rzeczywiście wszelkie dobre zachowania można było wytłumaczyć miłością lub czymś nadprzyrodzonym.

Pewnym przygotowaniem do pracy misyjnej w Papui Nowej Gwinei był też klimat jaki zastaliśmy w Australii. Oczywiście klimat Melbourne nie ma nic wspólnego z Wewak. Nie mniej jednak czas, w którym przyjechaliśmy do Melbourne, tj. 15. 02. 89 r., kiedy w Polsce szalała jeszcze zima, natomiast Australia przeżywała pełnię lata, dał nam wszystkim już odczuć

różnice i spodziewać się więcej. Pierwsze nasze Msze św., odprawiane w małej kapliczce MTA na Kew, kiedy strumienie potu spływały po ciele, dały przedsmak przyszłej pracy na misjach.

Czas bezpośredniego przygotowania to okres naszych studiów językowych. Po przyjeździe do Melbourne w Australii dostaliśmy się bezpośrednio do Instytutu na naukę języka angielskiego. Mieścił się on w dzielnicy Hawthorn. Prowincja australijska dopomogła nam, przydzielając na ten cel samochód, toteż mogliśmy codziennie bez większego problemu dojeżdżać do uczelni. Instytut był wyposażony we wszystkie dostępne w tym czasie nowości do nauki języka, co czyniło tę naukę o wiele ciekawszą. Jedną jeszcze rzecz zwróciła naszą uwagę - otóż cały instytut zdominowany był przez rasę żółtą. Na całej uczelni, która liczyła około 600 studentów, można było zaobserwować tylko pojedyncze jednostki, pochodzące z Europy. Dominująca większość pochodziła z Chin, Tajwanu, Indonezji, Japonii, Korei. Niestety nie znalazłem nikogo z Papui Nowej Gwinei. Oczywiście było to bardzo ciekawym doświadczeniem, bo tak naprawdę mieliśmy pierwszy raz okazję kontaktu z ludźmi innej rasy. Czasami na lekcjach języka, kiedy profesorka prosiła o przygotowanie pewnego rodzaju referatu czy też pogawędki, okazywało się, że dość duża grupa Chińczyków czy Japończyków pierwszy raz zetknęła się z Ewangelią Jezusa.

Tak naprawdę, to nie byli w stanie powiedzieć kim jest Jezus Chrystus. Zdałem sobie wtedy sprawę z tego, że przecież ci ludzie, do których chcę jechać, prawdopodobnie też jeszcze nie wiedzą kim jest Chrystus. Pomyślałem, że mogę tam spotkać podobną sytuację. Bo przecież pokazać Chrystusa ludziom, którzy jeszcze o Nim nie słyszeli to jest zadanie misjonarza. I chyba taka definicja misjonarza do tej pory w Polsce funkcjonuje. Nie chciałbym teraz oceniać prawdziwości tej definicji, niemniej jednak w moim życiu ta definicja będzie ulegała pewnym zmianom. Nie uważam za stracone tych chwil, w których czy to na korytarzu czy też w innych warunkach przeprowadzałem tyle dyskusji na temat Chrystusa. Bo może właśnie wtedy dokonywała się integracja mojej postawy co do misji, co do prawdy, dla której poświęca się całe swoje życie. I tak, jak zauważyłem, będąc jeszcze w Seminarium, kiedy przypominałem sobie chwile z Nowicjatu, gdzie całkowicie oddany, zdolny do szaleństw, śpiewania i grania w autobusie pieśni o Chrystusie, kilka lat później nie byłem w stanie tego już dokonać. Coś jakby zniknęło, jakby wydoroślało, jakby zmieniło swój bieg. Bo przecież Chrystusa tak samo kochałem.

Metanoia mojego misjonarzowania została zapoczątkowana. I teraz, siedząc przy biurku, zdaję sobie sprawę, że jest to proces, którego się nie uniknie, który musi się dokonywać w sercu każdego misjonarza.

Czas nieubłaganie płynął. Zbliżał się koniec naszego pobytu w Australii. Przygotowani językowo (mam na myśli tylko język angielski), wybraliśmy się w podróż, gdzie czekały nas nowe przygody. Świat, którego jeszcze nie znałem, nie widziałem i nie byłem w stanie

Czas przygotowania

Wpisany przez ks. Marian Wierzchowski SAC

zrozumieć.

ks. Marian Wierzchowski SAC

Horyzonty Misyjne 1